

Młoda i dojrzała. O wybitnej powieści Daisy Johnson

⇒ [Klaudia Czaboryk](#)

Powieść Daisy Johnson *Pod powierzchnią* znalazła się w finale Nagrody Bookera i jednocześnie uczyniła pisarkę najmłodszą finalistką w historii. Johnson jednak skromnie przyznaje, że gdyby nie była pisarką, to zostałaby... pasterzem.

Niespełna trzydziestoletnia autorka zastępną już w 2017 roku tomem opowiadań *Fen*. Jednak to powieść opublikowana rok później zwróciła na Johnson uwagę krytyków oraz czytelników. *Pod powierzchnią* to nie- zwykłe dojrzała proza, która niepokoi i obnaża rodzinne sekrety głównej bohaterki.

Matka i córka

Johnson opowiada historię trzydziestoletniej Gretel, która po długich poszukiwaniach w końcu połączyła się z cierpiącą na demencję matką, Sarą. Odnalezienie matki po szesnastu latach burzy poukładane życie młodej leksykografki. Aktualizowanie wstępów do słowników bardzo odpowiada introwertycznej bohaterce, która jest samotniczką, tym bardziej, że słowa od zawsze były ważne dla Gretel, ponieważ w dzieciństwie porozumiewała się z matką stworzonym przez nie językiem. W powieści widać, że Johnson inspirowała się *Edypem* Sofoklesa, który, jak sama mówi, urzekł ją już na studiach swoją mrocznością i wskazaniem, jak ogromną rolę w życiu odgrywa los. Czytając powieść, zaczynamy zastanawiać się nad rzeczami, które wcześniej być może były dla nas niedostępne lub bagatelizowane oraz zaczynamy myśleć o tym, jak relacje z rodzicami mogą wpłynąć na całe dorosłe życie.

Mroczne światy

Powieść jednocześnie zachwyca płynnością i zaskakuje zwrotami akcji, a z każdą stroną odkrywa nowe elementy układanki. Mimo że Johnson w swoim dziele porusza nie- łatwe tematy, bo zmusza nas do myślenia o przeszłości czy relacjach z najbliższymi, to robi to z taką lekkością, że trudno oderwać się od lektury. Główna bohaterka opowiada większość historii, ale nie całość. Sposób narracji przypomina czasami antyczny grecki chór, który moralizuje. To wszystko sprawia, że łatwo możemy się zgubić, jeśli nie oddamy się lekturze z całkowitym skupieniem. Naj- bardziej elektryzuje ponura melancholia, z jaką opisywana jest w książce natura. Świat przyrody odgrywa znaczącą

rolę w powieści Johnson, ale nie są to bynajmniej sielskie obrazy. Książka jest wybitna, ale też mroczna i szokująca, na pewno nie jest lekturą do poduszki. Biorąc pod uwagę jej styl, nie powinno dziwić, że pisarka została doceniona, a jej twórczość wyróżniona.

Obsesja młodości

Johnson jest bez wątpienia jedną z najbardziej rozpo- znawalnych pisarek młodego pokolenia reprezentującą Wyspy Brytyjskie. W wywiadzie dla „Vanity Fair” zapytana, czy to, że jest tak młoda, wpłynęło na jej twórczość, od- powiedziała: „Mamy obsesję na punkcie młodości. Myślę, że w finale Bookera było wiele ciekawszych rzeczy niż fakt, że mam 27 lat”. Ciężko się z nią nie zgodzić, niemniej jednak imponuje, że w tak młodym wieku znalazła się w finale prestiżowego konkursu. Warto zapoznać się z jej powieścią i odkryć wszystkie niuanse, bo może młodość pisarki rzeczywiście nie jest najważniejsza, ale jej świeże spojrzenie na świat nadaje utworowi wyjątkowy charakter.

» [Spotkanie z Daisy Johnson odbędzie się 16 sierpnia o go- dzinie 19.00 w Państwowej Galerii Sztuki. Poprowadzą je Natalia Szostak i Justyna Suchecka.](#)

”

Mamy obsesję
na punkcie
młodości.
Myślę, że w finale
Bookera było
wiele ciekawszych
rzeczy niż fakt,
że mam 27 lat.



Daisy Johnson
fot. z archiwum autorki

Drabiną do nieba. Do czego zdolny jest pisarz?

⇒ [Dominika Stańkowska](#)

Tę część swojego życia zamknął na klucz na ponad pół wieku. Teraz jednak zapragnął ujawnić swoje tajemnice. Chce się otworzyć. Opowiedzieć swoją historię. Od takiego pragnienia zaczyna się najnowsza książka Johna Boyne’a – *Drabina do nieba*.

Odnoszący sukcesy pisarz, Erich Ackermann, podczas pobytu w Berlinie Zachodnim poznał młodego i aspirują- cego twórcę. Ackermann potrzebował zarówno asystenta, który pomagałby mu w trakcie licznych spotkań autor- skich, jak i przyjaciela, z którym mógłby wieczorami wypić drinka w hotelowym barze. Maurice Swift natomiast potrzebował kogoś, kto wprowadziłby go na literackie salony. Wywiązała się między nimi na tyle głęboka zaży- łość, że Ackermann pozwolił sobie na wyjawienie swojej mrocznej przeszłości.

W literackim świecie

Znajomość z niemieckim pisarzem i odkrycie jego ta- jemnic daje początek literackiej karierze Swifta oraz jest bodźcem do wydania bestsellerowej książki *Dwóch Niemców*. Przebywając wśród literackich elit, Swift po- znaje – świetnie sportretowanych – pisarzy: szczerego do bólu Amerykanina Dasha Hardy’ego oraz przenikli- wego i lubiącego luksusy Gore’a. Szybko się uczy: jego kariera nabiera rozpędu, wydaje kolejne książki, jest też redaktorem naczelnym nowojorskiego kwartalnika. Jest zdeterminowany, by odnieść sukces.

Portret pisarza

Postać głównego bohatera poznajemy z różnych stron, co przekłada się na jego pogłębiony portret. W książce spotkamy się z kilkoma narratorami: Erichem Ackerman- nem, Gorem, żoną Swifta Edith oraz, oczywiście, głównym bohaterem, którego trudno jednoznacznie ocenić. Od najmłodszych lat był świadomy swojej urody i wiedział, że pociąga zarówno kobiety, jak i mężczyzn. Sam przy- znał, że rozumiał władzę, jaką nad nimi miał – „władzę, którą zawsze łatwo było wykorzystać”. Dlatego potrafił zaprzyjaźnić się z osobami odnoszącymi sukcesy, które pozwoliły mu wspinać się po drabinie społecznej, potrafił także rozstać się z nimi, gdy nie były mu już potrzeb- ne. „Myślę, że Maurice bywa wszystkim, czego sytuacja i pora od niego wymaga” – tak scharakteryzował go jeden z bohaterów książki. Co więcej, i co jest w nim najmrocz- niejsze, miał w sobie pewien instynkt, który podpowiadał

mu, Kiedy powinien przykręcić śrubę, by zmusić kogoś do działania.

Gdzie kończy się pasja, a zaczyna obsesja?

Oprócz intrygującej postaci głównego bohatera w *Drabinie do nieba* nie brak licznych dyskusji, w których biorą udział bohaterowie z często sprzecznymi poglądami. Zastanawiają się, gdzie kończy się pasja, a zaczyna obsesja i ile człowiek jest w stanie poświęcić, aby zrealizować swoje cele. Nie brakuje też refleksji dotyczących bycia pisarzem i istoty pisarstwa. Skąd autor czerpie inspirację? Jak wymyśla fabułę: pomysły rodzą się w jego głowie czy są zaczerpnięte z życia? Czy powinniśmy oceniać dzieło przez pryzmat biografii pisarza i tego, jakim jest człowiekiem? Aby znaleźć odpowiedzi na te pytania, warto sięgnąć po *Drabinę do nieba*. Intrygująca i wielowątkowa fabuła sprawi, że nie będziecie chcieli tej książki odłożyć nawet na moment.

» [Spotkanie z Johnem Boyne’em odbędzie się 16 sierpnia o godzinie 14.00 w Sopotece. Poprowadzi je Łukasz Wojtusik.](#)

”

Czy powinniśmy oceniać dzieło przez pryzmat biografii pisarza i tego, jakim jest człowiekiem?



John Boyne, fot. z archiwum autora



W poszukiwaniu własnej tożsamości

⇒ [Magdalena Bojanowska](#)

Jak może czuć się siedemnastolatek, do tej pory dumny ze szlacheckich korzeni swojej rodziny, kiedy słyszy od matki: „Wyjeżdżamy. Jestem Żydówką”? Jest 1968 rok. W Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej trwa nagonka na osoby pochodzenia żydowskiego. Tym chłopcem był Maciej Zaremba Bielawski. Niecałe pół roku później mieszkał już w Szwecji.

Minie pół wieku, nim reportażysta zmierzy się z historią swojej rodziny w książce *Dom z dwiema wieżami*, za którą otrzymał Nagrodę im. Ryszarda Kapuścińskiego. Tytułowy budynek to szpital psychiatryczny w Kościanie, w którym Zaremba Bielawski mieszkał w okresie dorastania. Jego rodzice byli wybitnymi specjalistami z dziedziny psychiatrii, jednak mimo fachowej wiedzy stronili od okazywania chłopcu uczuć.

Ona i On

Genialnym fragmentem reportażu jest rozdział, w którym autor przeplata ze sobą wojenne losy swoich rodziców. Jest Ona, czyli Lila – kobieta, która dzięki napotkanym na swojej drodze ludziom przeżyła wojnę. Jest i On. Oskar – mężczyzna, który niemal całą wojnę spędził

fot. Sofia Runarsdotter

w niemieckim obozie jenieckim. Spotykają się po zakończeniu najokrutniejszego konfliktu XX wieku. On jest starszy o 30 lat, ale zakochuje się w niej bez pamięci. W 1968 roku Ona oznajmia mu, że wyjeżdża z Polski. Zabiera ich syna. On zostaje.

Absurdy antysemityzmu

Można się spierać, czy *Dom z dwiema wieżami* to reportaż, czy bliżej mu do autobiografii. Skłaniałabym się ku pierwszemu gatunkowi. Reportaż literacki charakteryzuje się przecież tym, że może w sobie łączyć elementy wielu gatunków, a eksperymenty z formą są wręcz wskazane. Tym bardziej, że poza wątkami rodzinnymi, które są punktem wyjścia do rozprawy o ważnym problemie społecznym, autor z pełną starannością opisuje zjawisko polskiego antysemityzmu. Pokazuje także absurd, który się z nim wiązał: „Jezus nie miałby wstępu do związku polskich lekarzy, bo nie urodził się niestety katolikiem” pisze Zaremba Bielawski, komentując fakt uchwalenia przez wspomnianą organizację, że jej członkiem może być jedynie lekarz chrześcijanin.

Język nie-ojczysty

Ostatecznie to właśnie narastający pod koniec lat 60. antysemityzm zmusza rodzinę pisarza do wyjazdu. Kraj, będący do tej pory jego ojczyzną, pozbył się go, wręczając bilet w jedną stronę. Zaremba Bielawski uzyskał azyl w Szwecji. I może właśnie dlatego pisze tę książkę po szwedzku, a nie w języku ojczystym?

Prawdą jest, że nie ocenia się książki po okładce, ale koło tej nie można przejść obojętnie. Wydawnictwo

Karakter umieściło na niej bowiem imię i nazwisko autora przekładu reportażu, za co należy się uznanie, ponieważ tłumacze są często niezauważeni, a jak pisał Ryszard Kapuściński w jednym z *Lapidariów*: „Nie doceniamy faktu, że znana nam literatura światowa tylko w połowie jest pisana przez autorów. W pozostałej części tworzą ją tłumacze”.

”

Kraj, będący do tej pory jego ojczyzną, pozbył się go, wręczając bilet w jedną stronę.

Odnaleźć własne „ja”

Obok historii rodziny Zaremby Bielawskiego wyłania się też obraz PRL-u: koncert Rolling Stonesów w Warszawie czy zdjęcie z afisza *Dziadów* Kazimierza Dejmka. Można więc uznać, że poza Zarembą Bielawskim i jego rodziną istotnym bohaterem książki jest czas przemian społeczno-politycznych. Reportażysta poprzez odkrywanie przeszłości swoich przodków poszukuje też własnej tożsamości. Czy ją odnajduje? Niech to oceni czytelnik. Dzięki książce możemy jednak spojrzeć na ważne wydarzenia historyczne z innej perspektywy. To właśnie dlatego warto sięgnąć po *Dom z dwiema wieżami* – oprócz poszerzenia wiedzy możemy zastanowić się nad własną tożsamością.

» [Spotkanie z Maciejem Zarembą Bielawskim odbędzie się 16 sierpnia o godzinie 16.00 w Sopotece. Poprowadzi je Paweł Goźliński.](#)

Motyl, który odzyskał skrzydła

⇒ [Aleksandra Chmielewska](#)

Strach, poczucie bezsilności, bezdusznosc pielęgniarki, fala przeszywającego bólu między udami. To tylko niektóre z przykrych wspomnień Masajki Ntalian Lolłoki, która w wieku dwunastu lat została zabrana przez matkę do jednej z kenijskich klinik, by tam, zgodnie z plemienną tradycją, zostać poddana zabiegowi obrzezania. Dziś, jako dojrzała kobieta, Lolłoki wciąż czuje smutek i żal wobec bliskich, powracając pamięcią do wydarzeń z dzieciństwa.

Każdego roku 3 miliony dziewcząt na świecie, w przeciważającej mierze w Egipcie, Sudanie, Erytrei i Somalii, zostaje obrzezanych. Ten okrutny zabieg, praktykowany ze względów rytualnych lub religijnych, polega na okaleczeniu żeńskich narządów płciowych poprzez częściowe lub całkowite usunięcie techtaczek, a niekiedy również warg sromowych mniejszych. Krótki ból fizyczny, którego doświadczają dziewczynki, to zaledwie wstęp do długotrwałego cierpienia psychicznego, które towarzyszy im do końca życia. Brak satysfakcji z miłości fizycznej i utrata zainteresowania seksualnością powodują, że okaleczone kobiety czują się obco we własnym ciele. Czują się wyalienowane. Jak motyle bez skrzydeł.

Metamorfoza z dnia na dzień

Seks był koszmarem dla Lolłoki, która kilka lat po zabiegu obrzezania wzięła ślub z młodym angielskim żołnierzem. Udawane orgazmy, unikanie zbliżeń, narastająca frustracja, wreszcie separacja – w podobne scenariusze uwikłanych jest wiele ofiar FGM, czyli okaleczenia żeńskich narządów płciowych (z ang. *female genital mutilation*).

Ntalian Lolłoki, fot. Amaal Said



Gorzka refleksja na temat własnej „niedoskonałości” osłabia jej psychicznie. Doświadczyla tego również Lolłoki, która co prawda po separacji realizowała się jako modelka, ale wciąż prześladowały ją lęki i depresja. Przetłomem okazała się przypadkowo zastyszana w wieczornej audycji radiowej informacja o możliwości chirurgicznej rekonstrukcji techtaczek. Operacja wiązała się z pewnym ryzykiem – przy pierwszym podejściu Lolłoki nie została zakwalifikowana do zabiegu, gdyż niemieccy lekarze zapowiedzieli, że mogą pojawić się komplikacje zdrowotne; jednak druga próba zakończyła się sukcesem. Po opuszczeniu szpitala w Berlinie Lolłoki odmieniła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Po raz pierwszy w życiu poczuła się atrakcyjną, spełnioną kobietą, emanującą silną energią seksualną. Po raz pierwszy w życiu poczuła pożądanie.

Przełamać stereotypy

Satysfakcja i radość związana z odzyskaniem własnej seksualności popchnęła Ntalian Lolłoki do dalszego działania. Jej celem stało się wspieranie ofiar FGM w Europie. Zaczęła działać w berlińskiej grupie samopomocowej tworzonej przez obrzezane kobiety, które starała się przekonać do poddania się operacji. Wiele z nich jednak zaobawiało się odrzucenia ze strony rodziny czy społeczności, w której się wychowały, żeby zdecydować się na ten krok. Zjawisko to pokazuje, że to nie okrutne okaleczenia fizyczne są faktycznym hamulcem kobiet, ale ograniczenia oraz przekonania wynikające z negatywnego wpływu społecznego. Dlatego ważniejszą formą wsparcia obrzezanych kobiet okazała się książka Lolłoki *Skrzydła dla motyla* wydana w 2017 roku. Autorka nie tylko opisuje w niej swoje niełatwe doświadczenia życiowe, ale przede wszystkim w nieskrepowany sposób pisze o seksualności i o tym, jak dojrzewała do zrozumienia własnych potrzeb i pragnień. Seksualność kobiet wciąż poddawana jest przecież surowszej ocenie niż seksualność mężczyzn. *Skrzydła dla motyla* to nie tylko ważne świadectwo, ale i duży krok w stronę przełamania barier, które ciągle powstrzymują wiele kobiet od cieszenia się seksem bez wstydu i poczucia winy.

» [Spotkanie z Ntalian Lolłoki odbędzie się 16 sierpnia o godzinie 17.00 w Księgarni wydawnictwa Smak Słowa. Poprowadzi je Marta Perchuć-Burzyńska.](#)

”

Krótki ból fizyczny, którego doświadczają dziewczynki, to zaledwie wstęp do długotrwałego cierpienia psychicznego.

Usiadłem i czekałem. Ludzie sami zaczęli opowiadać – rozmowa z Jarosławem Mikołajewskim

⇒ [Magdalena Bojanowska](#)

Mówi o sobie, że woli milczeć i czekać, aż ludzie sami zaczną opowiadać, ale kiedy mowa o Ryszardzie Kapuścińskim, jego bliskim przyjacielu, ożywia się natychmiast, a w jego oczach widać szczerą radość. Jarosław Mikołajewski opowiada o poszukiwaniu świata w sobie samym, mówieniu do ludzi mieszkanką myśli i emocji, głupich łzach Kapuścińskiego, a także o tym, kiedy poezja staje się reportażem.

Magdalena Bojanowska: Pamięta pan swój pierwszy reportaż?

Jarosław Mikołajewski: Byłem zaskoczony, kiedy reporter Marek Miller powiedział mi, że analizuje ze studentami mój reportaż o Kapuścińskim. To była książka *Sentymentalny portret Ryszarda Kapuścińskiego* i nie miałem zielonego pojęcia, że to jest reportaż. Kiedy pracowałem nad nią, zacząłem *Rzymską komedię* i to ona ustanowiła mój styl reporterski, który jest bardziej poszukiwaniem samego siebie, a nie świata, a właściwie to jest poszukiwaniem świata w sobie samym. Piotr Matywiecki, bardzo uważny czytelnik, powiedział, że moje wiersze są bardzo reportażowe, to znaczy, że jest w nich, co się rzadko zdarza w polskiej poezji, jakaś opowieść, relacja ze zdarzeń. Rzeczywiście wiersze są formą szeroką, pojemną i zawierają spektrum: od odczuć po relacje. I wtedy dopiero zauważyłem, że są tam historie. Wydaje mi się, że pisałem reportaże bezwiednie. Odpowiadając na pytanie, pierwsze były chyba te dwie książki, ale byłem zaskoczony, że to reportaże. Tłumaczyłem bardzo bliskiego mi poetę, Cesare Pavese, autora słynnego wiersza *Przyjdzie śmierć i będzie miała twoje oczy*. Jego twórczość to *poesia racconto*, poezja opowieść, nie jest zmyślna, ale jest opowieścią o świecie. Na przykład: poeta widzi prostytutkę, która siedzi przed lustrem, jest sama, może cieszyć się tym, że pije kawę i patrzy na swoją twarz w lustrze. Albo Pavese idzie z kuzynem wzgórzami i o tym pisze: „Weszliśmy na wzgórze, zobaczyłem latarnię morską z daleka na morzu...”. I to mi się wydało bardzo frapującą formą. Większość rzeczy, jakie czytam, to reportaże i okazało się, że jedna z moich ukochanych książek, nawet więcej trzeba by powiedzieć, niż jedna z ukochanych, czyli *Odyseja*, to tak naprawdę reportaż. Byłem też przy pisaniu *Podróż z Herodotem* Kapuścińskiego. Myśmy się bardzo przyjaźnili. Nie wiedziałem, że jestem reporterem. Stanęło mi to przed oczami bardzo wyraźnie po tym, jak została zauważona *Rzymska komedia*.

W takim razie czuje się pan bardziej poetą czy reportażystą?

Czuję się poetą. Jednak mam większą radochę, jak wiem, że napisałem dobry wiersz. Czuję się także poetą w reportażu – nie mam zamkniętego stosunku do formy. Mówię o fragmentach wierszy, które są w reportażach, ale także o reportażach czasami przybierających formę wiersza. U Kapuścińskiego też tak było, więc to nie jest nietypowe. Kiedy pisał bodaj w *Hebanie* o malarii, to też używał języka poetyckiego. Natomiast wiersz *Żołnierz roku 1975* o żołnierzu z Angoli to jest z kolei wiersz reportaż.

Mimo że opisuje pan tragiczne wydarzenia – trzęsienie ziemi czy dramat uchodźców przyptywających na Lampedusę – to z pańskich Książek bije niesamowity spokój. Tu się łączy taknienie poznawania świata ze zrozumieniem, że taki już jest. Mam wrażenie, że jestem w jakimś logosie. Może to życiowa postawa, że niespecjalnie mam ochotę kogokolwiek oceniać. Pewnie dlatego, że strasznie dużo rzeczy już odkryłem – tych dobrych i złych. Wiem, że jedno nie przeczy drugiemu i że bardzo łatwo byłoby mnie zaklasyfikować. Jesteśmy teraz w Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza i mówi się o nim, że jest wielki – ludzie nie pozwalają o nim powiedzieć niczego złego, ale też niczego normalnego o jego prawdziwym człowieczeństwie. Gdyby się wziął za niego Instytut Pamięci Narodowej, to po prostu niewiele by z niego zostało. Z drugiej strony – po prostu był sobą, a prawda o człowieku jest ważniejsza. Poza tym nie wierzę w jednego człowieka w człowieku. I to jest moja podstawowa wiara.

Co to znaczy?

Uważam, że w każdym człowieku siedzi kilka różnych osób. Jak teraz kogoś poznaję czy z kimś rozmawiam, to kiedy go spotkam po kilku latach, to wcale nie jest to ten sam człowiek. Na przykład Pinokio obiecywał wróżce, że już nie będzie uciekał ani chodził na wagary, ale później był już tym, który nie spełniał tej obietnicy. Po prostu był już kimś innym. Każdy człowiek jest wielością ludzi. Przyjaźniłem się z wieloma mądrymi osobami. Byłem bliskim przyjacielem Wistawy Symborskiej i ona mi kiedyś powiedziała: „Wiesz, Jareczku, gdyby myśleć o tym wszystkim tak na poważnie, to tylko osiąść i wyć do Księżyca”. Rozumieliśmy też oboje, że dominuje albo rozpacz, albo tępa wiara, że kiedyś będzie cudownie, bo się wszyscy po śmierci spotkamy, jak Urszula Kochanowska u Bolesława Leśmiana. Tak naprawdę to wszyscy mówią, że jest źle. Wszyscy z piszących. Rzadko ktoś jest pogodny, skrajnie wierzący i piszący dobre wiersze. Natomiast na tragedii opiera się wiele historii. I tutaj właśnie należy znaleźć źródło poezji, źródło pisania, powiedzieć, dlaczego mimo wszystko nie popełnia się samobójstwa. To jest właśnie ten moment pogodzenia – ja taki jestem, a świat jest taki, jakim go widzę. Na Lampedusę pojechałem, bo chciałem napisać reportaż o uchodźcach, a napisałem o ludziach z Lampedusy. Wydawało mi się, że telewizja na pewno wygra, bo pokaże, jak reporter idzie koło łódki, gdzie leżą trupy, a fotoreporter pokaże zwłoki dziecka na plaży i tak dalej. Trudniej jest pokazać ludzi, którzy pomagają, mają w sobie taką potrzebę i którzy, tak samo jak my, nazywają siebie katolikami i ludźmi śródziemnomorskiej kultury, ale jednak wyciągają z tego zupełnie inne wnioski. To było dla mnie ciekawe. To właśnie dlatego nie popełnia

się samobójstwa – bo spotyka się takich ludzi. Jak się na przykład widzi, że jakaś kobieta zakłada szpital dla żółwi i wszyscy pukają się w głowę, jak ona może leczyć żółwie, kiedy umierają ludzie. To jest to samo tak naprawdę – ona dlatego leczy żółwie, bo nie bardzo widzi różnicę między jednym a drugim. Opowiada, jak stała ze swoim umierającym psem w kolejce do rzeźnika i pyta go: „Piesku, co ci dać? Co byś zjadł przed śmiercią?” i jakiś ksiądz się odwraca i mówi, że człowiek powinien karmić ludzi, a nie zwierzęta. A ona mu odpowiada, że należy do ludzi, którzy karmią głodnych. Krótko mówiąc, ten spokój płynie z tego, że po prostu lubię ludzi. To tak jak u Symborskiej – jej rozpoznanie świata było tragiczne, jednak lubiła ludzi i to jest właśnie ta sprzeczność, która jest w człowieku. A może to nie jest sprzeczność? Niektórzy mówią, że czerpie się radość, ukojenie czy pogodę tylko z poczucia, że wszystko jest harmonijne. Moim zdaniem to nieprawda, ukojenie przychodzi również z tego, że doceniamy moment, w którym jesteśmy – czyli chwilę, która się nie powtórzy i musi być najlepsza na świecie.

”
Ludzie sami mówią to, w co wierzą i to, co wiedzą, a nie to, o co się ich zapyta. Wtedy się silą i próbują to nazwać.

Jak wyglądała praca na Lampedusie?

Kapuściński mówił, że nigdy w życiu nie przeprowadził żadnego wywiadu. To było ciekawe i odkryłem dokładnie to samo, jak pojechałem na Lampedusę. Usiadłem pomiędzy psami i po prostu czekałem. Ludzie sami mówią to, w co wierzą i to, co wiedzą, a nie to, o co się ich zapyta. Wtedy się silą i próbują to nazwać.

I rzeczywiście podchodzili i zaczęli mówić?

Tak. Na wyspie mieszka sześć tysięcy osób, ale na tej uliczce akurat niewiele. Oni przechodzili obok mnie. Nawet pewna Szwedka rzuciła mi jedno euro, bo myślała, że jestem żebrakiem, odpędziła też psy i ludzie zaczęli podchodzić i mówić, że te psy są miejscowe, a ona jest ze Szwecji i że to ona ma sobie pójść. I tak się zaczęło.

Dwa lata temu w Polsce ukazała się książka Lekarz z Lampedusy Pietra Bartolo, bohatera pańskiego Wielkiego przyptywu, który leczy uchodźców przyptywających na wyspę. Jak się poznaliście?

W jego książce są fragmenty mojej, bo on nigdy nie opowiedział tej historii. Poszedłem do niego, bo jak tak chodziłem po wyspie i widziałem jej koniec z jednej i drugiej strony, to pomyślałem, że pójść do ambulatorium zobaczyć, co tam się dzieje. Doktor Bartolo przyjął mnie



Jarosław Mikołajewski, fot. Filip Skrońc

i po raz pierwszy opowiedział mi tę historię. W *Wielkim przyptywie* jest scena, gdzie zaczyna płakać i to był dziwny moment, jakby stworzenie świata, bo właściwie zaczął opowiadać o tym po raz pierwszy. Pamiętam, jak pojechalśmy na forum ekonomiczne do Krynicy, nieudana impreza jak cholera, myśmy tam pojechali, bo myśleliśmy, że chociaż raz opowiemy to ludziom nieprzekonanym, myślącym skrajnie inaczej. Zakończyło się to klęską z zupełnie innego powodu. Zatrzymywaliśmy różne osoby, na przykład ówczesnego ministra zdrowia Konstantego Radziwiłła, bo chcieliśmy opowiedzieć historię, którą oni tak deklaratywnie lekceważyli, ale okazało się, że nikt

nie był zainteresowany rozmową. Na spotkanie z doktorem Bartolo przyszli prawie sami włoscy dziennikarze, ale nikt z polityków. Wie pani dlaczego? Bo spotkanie było przed bankietem i wszyscy się na niego szykowali. W Krynicy przeczytałem mu ten tekst. I tak żeśmy się zaprzyjaźnili.

Był pan na pomoście, o którym wspomina doktor Bartolo? Oczywiście.

I widział pan na nim ludzi, którzy przyptywają na Lampedusę?

Tak, ale nie chciałem o tym pisać. Nie bardzo chciałem się poddać efekciarstwu. Zaczęły się wtedy relacje w TVN

i, nie mówię tego negatywnie, redaktor Wojciech Bojanowski szedł koło łódki i ten przekaz mnie zastanowił. Pomyślałem sobie, że jest to oczywiście cenne, że telewizja korzysta ze swojego bogactwa, naturalnego powołania, ale to nie dla mnie. Ja po prostu nie mogę pisać o płaczących matkach. Natomiast o księdzu, który mówi dziwne kazanie, mogę pisać. Widziałem na tym pomoście, jak dźwig podnosił trumnę. W trumnie było ciało dziecka i kobieta nie chciała jej puścić. Dźwig zabierał tę trumnę, żeby ją gdzieś wywieźć i matka doskonale wiedziała, że już nie znajdzie dziecka. Uniósł się na trzy metry, potem zsunęły się jej ręce i padła na ziemię. Słychać było tylko dźwięk pogruchotanych kości... Tłumaczyłem *Skórę* Curzio Malapartego i on właśnie o tym pisał, ale to było tyle lat temu, że nikt już w takie rzeczy nie wierzy. Ta drastyczność, owszem, jest atrakcyjna pisarsko, a ja nie chcę być atrakcyjny.

A czego pan chce?

Przed wszystkim chciałbym dobrze nazwać to, co opisuję. Moje książki są pisane trochę jak wiersze. Nie ma porządku myśli, nie ma porządku uczuć i to jest to, co Pier Paolo Pasolini uważał za oczywistość, choć ludzie jeszcze nie do końca to wiedzą. Krótko mówiąc, nie ma samych myśli ani samych uczuć – są ich skrzyżowania i chodzi o to, żeby mówić właśnie tymi skrzyżowaniami. Mam nadzieję, że nawiedzę ludzi, że przekażę im swoje skrzyżowania myśli z uczuciami i oni chociaż przez moment tak właśnie spojrzą na świat. Nie mam zielonego pojęcia, co z tym zrobią. Widziałem wystawę w Centrum Sztuki Współczesnej poświęconą uchodźcom, która mną bardzo wstrząsnęła. Stworzyła ją Anna Konik, polska artystka teraz mieszkająca w Polsce, ale wtedy mieszkała w Berlinie, i wykonała bodaj 36 prac. Polegało to na tym, że rdzenni mieszkańcy bogatych miast europejskich z Brukseli, Madrytu czy ze Sztokholmu czytali kwestie uchodźców. Na przykład Szwedka czytała słowa uchodźczyny Kurdyskiej. Było to bardzo ciekawe, bo opowiadała cudzą historię i doszła do momentu, kiedy Kurdyska napisała, że musiała uciekać, bo trzykrotnie zgwałcono jej córkę. Szwedka nie była w stanie tego powiedzieć, bo sama to bardzo przeżywała. Doszło do tego, że ludzkie ciało stało się naczyniem, które przyjęło cudze doświadczenie. Pomyślałem wtedy, że tak powinien wyglądać proces utożsamiania i identyfikacji. Doktor Bartolo mówi, że ciężko opowiadać mu o tym, co dzieje się na Lampedusie. Ale jeśli ja napiszę o tym w książce i Polacy dowiedzą się o wszystkim, to coś zrobią. Wysłałem książkę nawet do Donalda Tuska i wiem, że ją dostał.

Ale nie było odpowiedzi?

Żadnej. Kiedyś go poznałem, bo przeprowadzałem z nim wywiad o Gdańsku i jego miłości do tego miasta. Ale za to w książce Pawła Adamowicza jest cała strona o *Wielkim przyptywie*. Zacytował go. Była to dla mnie duża satysfakcja.

Że ktoś ją jednak zauważył?

Tak, i to ktoś taki. On mi się kiedyś uklonił tak, jakby mnie znał. To było chyba na premierze jakiegos filmu. Nie miałem pojęcia, czy się wcześniej poznaliśmy. Dopiero potem zorientowałem się, że mógł mnie Kojarzyć właśnie z tej książki.

Rozmawiał pan z uchodźcami na Lampedusie? Wielokrotnie. Teraz z Pawłem Smoleńskim piszemy książkę o Sycylii i są tam częściowo te opowieści. Uchodźcy mówią teraz bardzo dużo, są niezliczone relacje i nie chciałbym już odtwarzać takiej rzeczywistości: bombarowanie, gwałt, niewolnictwo. Są inne ciekawe historie. Jedną z nich opisałem w czasopiśmie „W drodze”, chociaż w redakcji wiedzą, że nie mam nic wspólnego z Kościołem i to tolerują. Do pewnych chłopaków z Nigerii przyjechał facet, który postanowił sprowadzić ich jako aktorów filmów pornograficznych.

Do Europy?

Tak. I to była dla mnie historia inna niż wszystkie. Ktoś chciał ich ściągnąć najpierw jako pitkarzy, ale nie przyjechał, a potem ktoś inny zaczął się nimi interesować i sprawdził, co mają do pokazania. Wydawało mi się, że ta historia to wyjątkowa igraszka losu, że mogli zostać pitkarzami albo aktorami porno. Na Sycylii poznaliśmy ze Smoleńskim chłopaka o imieniu Adama, który pochodził z Mali. Bardzo uprzejmy, miły człowiek, który stracił ojca. Jego mama wyszła za mąż za człowieka, który miał już synka młodszego od niego i ten synek wpadł do studni. Ojciec skatował chłopaka, ponieważ oskarżył go, że to on zabił brata z zazdrości o matkę. Podczas pierwszego spotkania autorskiego na Lampedusie widziałem grupę Syryjczyków tak pięknych, że myślałem, że oszaleję. To było coś nieprawdopodobnego: grupa kilkunastu osób – dziewcząt i chłopców – siedziała przed zapyziałym komisariatem policji i czekała na przesłuchanie, na jakieś wizy czy coś takiego. To było takie nieprawdopodobne, że oni byli tak piękni i szlachetni, a brama Porta d’Europa, ta Europa przez nich identyfikowana jako raj na ziemi, przywitała ich obojętnością i nieatrakcyjnością.

Spodziewają się czegoś innego, kiedy przyptywają do Europy? Myślą, że to raj, w tym jest ta cała pokusa. Pamiętam ludzi, którzy przyjechali tutaj jako piękni, inteligentni, wykształceni, o ślicznym akcencie do czegoś, co okazało się być zapyziałą prowincją. To podobna sytuacja do tego, co kiedyś działo się z uchodźcami z Albanii: oglądali włoską telewizję Silvia Berlusconiego i wierzyli w to, jak to mówi słynny opis Umberto Eco, że wystarczy wiedzieć, jak miał na imię Giuseppe Garibaldi, żeby zarabiać miliony. Taki mniej więcej obraz był im prezentowany, a telewizja, którą odbierają, obiecuje im bardzo wiele.

Był pan ostatnio na Lampedusie?

Ostatni raz byłem trzy lata temu. Dzwonimy do siebie z doktorem Bartolo, pisze do mnie też burmistrz. Co i raz ktoś mnie pyta, jak można podjąć praktyki w szpitalu żółwi. Teraz, jak będę we Włoszech w lecie, to pojadę na Lampedusę.

Co się zmieniło na wyspie?

Kiedyś to były tak zwane przepływy spontaniczne: ludzie wyptywali zazwyczaj z wybrzeża libijskiego, ale nie tylko, i dopływali do najbliższego punktu, którym była Lampedusa. Teraz jest tak, że uchodźcy ledwo opuszczą Libię i już są przejmowani przez okręty. Trochę się chroni Lampedusę, bo wiadomo, że tam nie ma miejsca i po jakimś czasie i tak trzeba będzie ich stamtąd zabrać.

Bardzo mną wstrząsnęło, Kiedy przeczytałam, że tylko określoną liczbę ciał można pochować na Lampedusie, a jeśli jest ich więcej, to trzeba je przewieźć. Ogłasza się to wtedy wśród gmin sycylijskich. Napisałem reportaż dla „Tygodnika Powszechnego” zatytułowany *Miłość na Sycylii. I śmierć*. Opowiadam w nim o konfraterniach w miejscowości Mussomeli, które zajmują się grzebaniem ludzi. Wykupują ziemię, żeby chować tych anonimowych martwych uchodźców.

Doktor Bartolo opowiadał panu o zwłokach uchodźców, które w łodziach przyptywały na wyspę i o tym, jak je badał. Jak rozmawiać z ludźmi na tak trudne tematy? Muszą się spotkać oczekiwania jednej osoby z gotowością drugiej. Inaczej się nie da. Zobaczyłem po Kapuścińskim, że otwierał ludzi umiejętnością słuchania: on siedział, a oni do niego mówili. Mam wrażenie, że zaprzyjaźniliśmy się dlatego, że on we mnie zobaczył coś podobnego. Ja po prostu lubię ludzi. Trzeba się wzbicić ponad podziały, ideami, światopoglądami. Jak poszedłem do doktora Bartolo, to powiedziałem, że u nas tak tylko mówią, ale właściwie nic nie rozumieją. On chciał o tym opowiedzieć i pamiętam, że wyprosił pielęgniarkę. Właściwie to już w drugiej minucie rozmowy czułem się z nim zaprzyjaźniony. Tak samo było z Sophią Loren. Powiedziałem, że tak jak moja mama urodziła się w 1934 roku. Tylko że ona była w Warszawie i przetrwała wojnę w piwnicy, a Loren pod Neapolem. Jeśli się nie stworzy w sobie pokusy, żeby się nadąć, to wszystko idzie samo. Musi pójść. Tak jest z pisaniem książek dla dzieci.

„Siadam, żeby napisać wiersz o Bogu, a wychodzi o kobiecie.

To znaczy?

Bardzo lubię pisać książki dla dzieci na trudne tematy. Chciałem napisać o śmierci, miłości czy tolerancji i czekałem, aż przyjdzie temat. Nagle wszedł mój przyjaciel, który ma 86 lat i jest cały jak szmaciana lalka – taki pocerowany. Spytałem go, co się stało, a on odpowiada, że spadł z tóżka w nocy, zaczął sobie przyklejać plasty i zrobił to krzywo. I mam opowieść. Ludzie bardzo często uważają to za dziwne, że siadam, żeby napisać wiersz o Bogu, a wychodzi o kobiecie. Nagle tak wychodzi, bo jest w nas jakiś zasób. Szymborska. Kiedy byliśmy w Sienie, weszła do katedry i mówi: „Jezus Maria, ale to wszystko nie zastuguje na koniec świata” i zaczęła coś zapisywać. Po trzech latach wyszedł wiersz: „Dopóki ta kobieta z Rijksmuseum / w namalowanej ciszy i skupieniu / mleko z dzbanka do miski / dzień po dniu przelewa, / nie zastuguje Świat / na koniec świata”. Krótko mówiąc, nie trzeba od razu korzystać z tego, co się widzi, bo to kiedyś przyjdzie. Ona miała to już w sobie zapisane.

I wtedy nadszedł ten moment.

Tak, trzeba się pogodzić z tym, że poetą się jest, a nie bywa. Człowiek się gapi bez przerwy tak, jakby miał coś z tego ocalić, jakby to się miało kiedyś przydać, jakby był odpowiedzialny za to, co zobaczył. Kiedy będzie trzeba, zda sobie z tego sprawę i o tym opowie. Tylko nie trzeba się spinać. To wszystko musi wyjść naturalnie. Kiedyś, jak pojechałem do Rzymu do Instytutu [Instytutu Polskiego w Rzymie; Jarosław Mikołajewski był jego dyrektorem w latach 2006–2012 – przyp. red.], to przez pół roku pisałem tylko pisma urzędowe. Nie napisałem żadnego wiersza ani tekstu. Nie wiedziałem już, co z tym zrobić i nagle dzwoni Julia Hartwig i mówi, że od roku nie napisała żadnego wiersza. Po godzinie czy dwóch dzwoni Kapuściński, że tak go boli biodro, że nie jest w stanie pisać. Inni mają taką siłę uwalniania z nas potworów, bo nazywają coś, co jest w nas. Jeszcze tego samego wieczora napisałem o tym wiersz.

I oni uwolnili tego potwora?

No pewnie. Uwolnili mnie od myśli, że jestem potworem, który niczego nie potrafi napisać. Akurat wtedy tak było. Są głupi nauczyciele, którzy mówią, że musimy być pokorni i posłuszni. Są też mądrzy nauczyciele, którzy mówią, że jesteśmy indywidualistami, że powinniśmy kultywować nasz indywidualizm. Ale bardzo rzadko trafia się aż tak mądry nauczyciel, który mówi, że jesteśmy wspólnotą. I to jest tak naprawdę główny powód mówienia: muszę tak to robić, żeby wszyscy wiedzieli, że mówię o nich. Jak w muzeum opowiadał o Mickiewiczu, to czuję, że muszę opowiedzieć coś takiego, z czym słuchacze będą się mogli utożsamić. W ten sposób uznają go za swojego i potem poszukają tego w jego tekstach. Życie jest ciągłym wyzwyaniem się z poczucia winy, że jesteśmy niedoskonalii, a czasami trzeba sobie odpuścić. Mówienie o tym bardzo pomaga. To się zresztą zrodziło u księdza Jana Twardowskiego. Słowa z jego wiersza „Śpieszmy się kochać ludzi tak szybko odchodzą” są wyśmiewane, bo cytuje się je zbyt często. Ja go nie wyśmiewam, to nie jest zły wiersz, wręcz przeciwnie. Pamiętam Ludmiłę Marjańską, cudowną poetkę, której mąż chorował na Alzheimer’a. Powiedziała mi: „Jareczku, wiesz co, jak mój mąż umarł, to mnie zostawił, bo byłam z nim dwadzieścia cztery godziny na dobę, z wyrzutami sumienia, że nie znalazłam dwudziestej piątej godziny”. To dokładnie to samo. Tylko ksiądz Twardowski nazwał pięknie to, że ktoś umiera i zostawia poczucie winy. I to nas wszystkich łączy, to są rzeczy, co do których wszyscy się zgadzają. Napisałem wiersz o mojej mamie, która ma 85 lat. Jak do niej dzwonię, a muszę do niej codziennie zadzwonić, to mam cierpliwość czekać spokojnie tylko do drugiego dzwonka. Jak nie odbiera za trzecim razem, to już mi się włącza taki noktowizor, podglądacz, radar. Już zaczynam widzieć jakąś sylwetkę leżącą na podłodze. Napisałem ten wiersz i to było wstrząsające, bo kilkadziesiąt osób tego samego dnia czy tego tygodnia napisało lub zadzwoniło do mnie, że mają tak samo. Ludzie czekają na informację, że inni mają tak samo. Żadne zło, którego dokonaliśmy, nie jest złe, jeśli jest powszechne. A jak coś jest powszechne, to nie jest złe.

Może właśnie dlatego powstaje tyle tekstów o tym, co jest złe na świecie.

Tak myślę, bo wtedy próbujemy radzić sobie z własnym złem. Są też tacy, którzy tak piszą. Dlatego nie lubię na

przykład Witolda Gombrowicza. To znaczy podziwiam go, ale on wiedział o innych, że są źli, a ja tego nie wiem.

Nie wie pan czy nie chce pan wiedzieć?

To do mnie nie dociera i nie staram się tego dowiedzieć.

Dobrze jest używać metafory w reportażu? Jaką pełni funkcję?

Czasami nie można inaczej. Tak jest na przykład w *Terremoto*.

W Boskiej komedii Dante miał za przewodnika Wergiliusza, a pan w Terremoto ma za przewodnika strażaka Lucę Cariego.

Właśnie tak. To nie jest tak, że ja panią oceniam lub odbieram jednowymiarowo. Słyszę, widzę i to wszystko razem musi znaleźć wspólny punkt. Ludzie są, jak napisała Szymborska o Billie Holiday, „dźwięczącymi kłodami”. Jesteśmy takimi instrumentami, które przy okazji mają swój zapach i tak dalej. Więc wszystko jest metaforyczne. Wydało mi się to niezbędne w *Terremoto*. Szukałem znaczenia metafory, bo obraz ukazujący Włochy dotknięte trzęsieniem ziemi był zbyt silny, żeby był obrazem dosłownym. Byłem przerażony tym, że nikt nie szukał znaczenia tej metafory.

Kapuściński pisał tak, by porównywać do tego, co polskie, np. żołnierza w Angoli zestawiał z powstańcem, żeby Polakom było łatwiej sobie to wyobrazić.

A Jarosław Iwaszkiewicz pisał o Sienie, że jest tam ziemia czerwona jak na Ukrainie koło Tomaszówki. O Sycylii pisałem, że jest tam jak pod Sochocinem, bo to miejsce, gdzie urodził się mój ojciec i tam jeździłem. Czasami, jak się słyszy nieznaną piosenkę, to następuje moment niezrozumienia. Nagle przypominają nam się kołysanki z dzieciństwa. Okazuje się, że te najbardziej znane domowe rzeczy przypominają te najbardziej nieznanne.

Wspominał pan, że przyjaźniliście się z Kapuścińskim. Jak się poznaliście?

Poznaliśmy się, kiedy przekazywałem mu jakąś paczkę. Ale on tego nie pamiętał. Zadzwonił kiedyś i powiedział: „Bardzo chcę pana poznać, bo wielbię pana poezję”. Tak się dokładnie wyraził, więc oczywiście brzmiało to jak żart. Podejrzewałem Bronka Maję, który cudownie naśladował cudze głosy. On zawsze robił takie dowcipy. Kiedyś do mnie zadzwonił jako profesor Władysław Bartoszewski, więc myślałem, że jak dzwoni Kapuściński, to też był to Bronek i go udawał. Ale to naprawdę był Kapuściński. Nie była to długa przyjaźń, on był dużo starszy ode mnie. Jeszcze w ostatnim roku przyjeżdżał do mnie do Rzymu. Nigdy nie pytał mnie o to, co sądzę o globalizmie. Nie obchodziło go moje zdanie na tematy polityczno-społeczne czy cywilizacyjne. Jego obchodziło to, dlaczego, cholera, Julian Przyboś został zapomniany. Potrafił mnie obudzić o trzeciej w nocy, żeby o coś takiego zapytać. Był taki okres, że bałem się latać samolotem. Teraz trochę mniej się boję, ale nie jest to dla mnie przyjemne. Pamiętam, jak jechałem do Rzymu pociągami. Kapuściński był wtedy w Wiedniu i nie poleciał, ale pojechał ze mną i z powrotem też jechaliśmy pociągami, co dla niego było dość niewyobrażalne. I całą drogę gadaliśmy. Czasami milczeliśmy. Śmiałyśmy się często. Ze mnie czasem wychodzi błazen. Przypominałem sobie, to chyba był największy śmiech jego życia, że w samochodzie zacząłem śpiewać piosenkę Alicji Majewskiej,

którą napisał Wojciech Młynarski: „Miłowania głodni jak wilcy, nauczymy się w tym Kraju od pierwszego dnia słów, którymi mówią tubylcy, szabadabada, szabadabada”. Jak to usłyszał, to zaczął się tak śmiać, że musieliśmy wysiąść, bo nie wiedzieliśmy, co zrobić z rozchichotanym Kapuścińskim [śmiech]. Po prostu dobrze się czuliśmy w swoim towarzystwie. Kiedy powiedziałem, że boję się latać, on specjalnie przyleciał, kupił nam bilety do Triestu i z powrotem, żeby wytłumaczyć mi, na czym polega bezpieczeństwo lotu. Słyszeliśmy jakieś dźwięki, a on do mnie mówi: „Słyszysz? Hydraulika działa” [śmiech]. Oczywiście rozmawialiśmy o poezji, bo miał do mnie zaufanie. Jak napisał tomik, to mnie poprosił, żebym go przeczytał. Powiedział: „Jak chcesz, to drzyj”.

I podarł pan?

Nie, bo wszystko mi się podobało. Nie miałem takiej pokusy, a w moim przypadku jedynym sposobem na uniknięcie grzechu jest właśnie brak pokusy. Przyjaźń z Kapuścińskim to była nauka bycia z ludźmi. Wydawało mi się, że to wiem sam z siebie, ale on ośmielał. Czasami jest tak, że mamy coś swojego i staramy się to w sobie zmienić. A on pokazał mi, że ja się wcale nie muszę zmieniać. To znaczy, że mogą sobie siedzieć, czekać na tych ludzi, że przyjdą do mnie sami i będą chcieli powiedzieć to, o co ich nie zapytałem. Bardzo lubiłem jego wzrok.

Co takiego w nim było?

Pamiętam, może to nie jest prawda, ale mnie to w ogóle nie obchodzi, że miał szaro-błękitne oczy. To były takie jasne, uśmiechnięte oczy człowieka, który Kochał świat. Miał oczy skłonne do płaczu. Piszę o takiej sytuacji, kiedy siedzimy na rzymskim Piazza Navona w restauracji Don Kichot i on nagle zobaczył piękne włoskie buty. Kochał buty. Przypomniaty mu stopy biednych mieszkańców Afryki, ale i Poleszuków. Bo dla niego Poleszucy byli jak Afrykanie. I on tak się wzruszał. Ja też. Mój nowy tomik wierszy, który wyjdzie w październiku w Wydawnictwie Literackim, nosi tytuł *Głupie łzy*. Przetłumaczyłem wiersz Camillo Sbarbaro, który Kapuściński uważał za swój ukochany ze wszystkich wierszy włoskich poetów. I on się w nim zwierza, że kiedy przechodzi koło dziada, który śpiewa ballady, to płacze, że kiedy młoda dziewczyna zarzuci włosy i odstoi kark przez moment, to też płacze. Cokolwiek się działo, to Kapuściński się wzruszał. Żył takim wzruszeniem i to było bardzo piękne i doskonale się też w tym rozumieliśmy. Sbarbaro pisał, że kiedy widzi tego starca i tę dziewczynę, to lecą mu z oczu głupie łzy. I Kapuściński też miał oczy do głupich łez.

»**Spotkanie z Jarosławem Mikołajewskim odbędzie się 16 sierpnia o godzinie 14.30 na plaży przy Klubie Atelier i Teatrze na Plaży. Poprowadzi je Michał Nogaś.**

Jarosław Mikołajewski – poeta, reportażysta, eseista i tłumacz. Był dyrektorem Instytutu Polskiego w Rzymie w latach 2006–2012. Napisał m.in. *Sentymentalny portret Ryszarda Kapuścińskiego*, *Rzymską komedię*, *Wielki przyptyw i Terremoto*.

Kim jest obywatel?

⇒*Magdalena Bojanowska*

Brexit to słowo powstałe z dwóch – *British i exit*, oznaczające wyjście Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej. Proces ten został zapoczątkowany trzy lata temu. Wtedy też odbyło się referendum, podczas którego za wyjściem ze struktur wspólnoty europejskiej opowiedziało się niemal 52% głosujących. Warto podkreślić, że frekwencja wyniosła 72,2%, co pokazuje, jak ważna była ta kwestia dla Brytyjczyków. W związku z brexitem zaczęły pojawiać się pytania o znaczenie obywatelstwa w dzisiejszej Europie.

W swojej publikacji *Korzenie totalitaryzmu*, poddającej analizie systemy totalitarne, Hannah Arendt, niemiecka filozofka polityczna, napisała: „Wraz z utraconym obywatelstwem, traci się kontakt z rzeczywistym życiem; to jak powrót do świata dzikich, nieokrzesanych jaskiniowców. Człowiek, który nie jest niczym innym, jak tylko człowiekiem, traci cechy, które pozwalają innym ludziom traktować go jak współplemieńca... może żyć i umrzeć, nie pozostawiając po sobie śladu, nie mając żadnego wkładu w życie społeczeństwa”. Czy więc obywatelstwo powinno być rozumiane tylko jako kwestia praw i obowiązków? Czy w pojęciu „obywatel” jest jeszcze miejsce na własną tożsamość? Czy nie jest to idea, która zamiast dzielić, powinna przede wszystkim łączyć ludzi?

»

Czy obywatelstwo powinno być rozumiane tylko jako kwestia praw i obowiązków?

Odpowiedzi na te i wiele innych pytań poznamy podczas debaty o obywatelstwie w epoce brexitu i swobodnego przemieszczania się, w której weźmie udział czworo panelistów. Madeline Grant jest dziennikarką „The Telegraph”, wcześniej była reporterką magazynu „Newsweek”. Doktor James Paton to wykładowca Uniwersytetu Oxfordzkiego – prowadzi zajęcia z polityki, filozofii i historii myśli. Max Wind-Cowie jest pisarzem, dziennikarzem i konsultantem politycznym. Polskę reprezentować będzie dziennikarz Polsat News Piotr Witwicki. Dyskusję poprowadzi Alastair Donald z Academy of Ideas.

»**Debata Obywatelstwo w epoce brexitu i swobodnego przepływu osób i towarów z udziałem Madeline Grant, Jamesa Patona, Maxa Wind-Cowiego i Piotra Witwickiego odbędzie się 16 sierpnia o godzinie 15.00 w Państwowej Galerii Sztuki. Poprowadzi ją Alastair Donald.**

Gdańska historia przodków J. R. R. Tolkiena

⇒ [Paulina Frankiewicz](#)

J. R. R. Tolkiena nikomu nie trzeba przedstawiać. Ryszard Derdziński, polski badacz życia i twórczości brytyjskiego pisarza, także jest znany przez tolkienistów na całym świecie. Zgłębiając korzenie giganta literatury fantasy, Polak wpadł na nieznany dotąd trop gdańskich i pruskich przodków mistrza.

Twórczością i biografią brytyjskiego pisarza, literaturoznawcy i filologa klasycznego Derdziński zajmuje się od lat 90. ubiegłego wieku. W toku genealogicznych poszukiwań badaczowi udało się ustalić, że przed przybyciem do Wielkiej Brytanii Tolkienowie mieszkali w Gdańsku. W należącym wówczas do Prus Królewskich mieście w 1747 roku urodził się potwierdzony krewny pisarza Daniel Gottlieb Tolkien. Być może w Gdańsku na świat przyszedł również brat Daniela, prapradziadek pisarza, John Benjamin Tolkien. Według rodzinnej legendy Tolkienowie przybyli do Wielkiej Brytanii w 1756 roku, uciekając przed pruską inwazją z Saksonii, gdzie posiadali ziemie. Tolkien pisał: „Nie jestem Niemcem, choć moje nazwisko jest niemieckie (...), a po dwustu latach »krew« pochodząca z Saksonii i Polski jest prawdopodobnie pomijalnym składnikiem fizycznym”.

Zainteresowanych szczegółami genealogii twórcy świata Śródziemia, a także dalszymi losami gdańskich Tolkienów zapraszamy na spotkanie z wybitnym ekspertem, które poprowadzi Dorota Karaś. Obecność tolkienistów obowiązkowa!

» [Spotkanie z Ryszardem Derdzińskim odbędzie się 16 sierpnia o godzinie 17.00 w Muzeum Sopotu. Poprowadzi je Dorota Karaś.](#)

”

Polak wpadł na nieznany dotąd trop gdańskich i pruskich przodków mistrza.

Redaktor naczelna: Ula Rybicka

Zespół redakcyjny: Magdalena Bojanowska, Aleksandra Chmielewska, Klaudia Czaboryk, Paulina Frankiewicz, Julia Kapała, Dominika Prais, Natalia Soszyńska, Dominika Stańkowska, Aleksandra Suhecka

Korekta: Agnieszka Kochanowska

Projekt graficzny i skład: Anita Wasik

Napisz do nas: redakcja@literackisopot.pl

Wszystkie materiały objęte są prawem autorskim. Przedruk lub kopiowanie całości lub fragmentów materiałów możliwy jest wyłącznie za wcześniejszą pisemną zgodą wydawcy – Biblioteki Sopotkiej.

Czy polski komiks ma płęć?

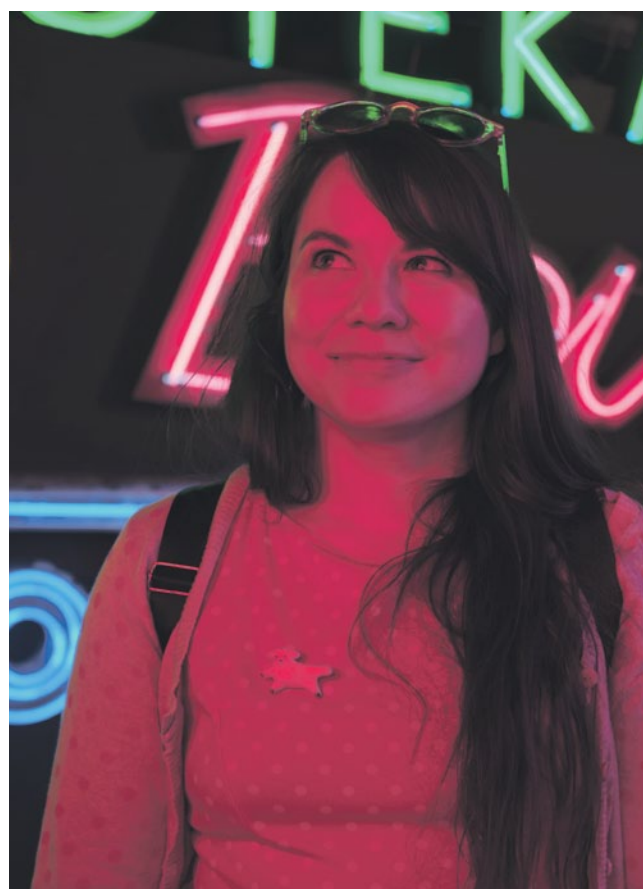
⇒ [Paulina Frankiewicz](#)

Co roku w programie Literackiego Sopotu znajdują się wydarzenia poświęcone komiksom, co jest dla mnie wymownym przejawem uznania tego medium za literaturę, o której warto dyskutować. Niestety debata poświęcona komiksowi od kilku lat stoi w miejscu i nie tylko nie wnosi nic nowego, ale odbiera przestrzeń i energię na podjęcie nowych wątków. Jednym z nich jest obecność kobiet na komiksowej scenie.

Gościnikami tegorocznej edycji festiwalu jest pięć autorek komiksów: Edyta Bystroń, Katie Green, Isabel Greenberg, Anna Krztoń i Olga Wróbel. Ta feministyczna reprezentacja mogłaby sugerować, że kobiety mają ugruntowaną pozycję w komiksowym świecie (u nas wciąż to raczej komiksowy świat). O tym, jak jest w rzeczywistości, rozmawiać będą polskie twórczynie: Edyta Bystroń (*Nie chcę się bać, Na koniec wszystko spłonie*) i Anna Krztoń (*Weź się w garść*). Artystki przepytają znawczyni tematu, Olga Wróbel (*Ciemna strona księżyca, Do kroćset!*).

Rozmówczynie zastanowią się, dlaczego w środowisku komiksowym dominują mężczyźni i czy w związku

Anna Krztoń, fot. Paweł Kędziora



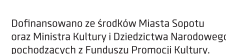
z tym kobietom potrzebna jest specjalnie wyodrębniona przestrzeń na scenie komiksowej. Praktyka pokazuje, że takie miejsce, przynajmniej nieoficjalnie, istnieje, bo powieści graficzne autorstwa kobiet są częściej autobiograficzne, inicjacyjne i herstoryczne niż w przypadku twórczości mężczyzn. Twórczynie wezmą pod lupę komiks kobiecy i przeanalizują, czy płęć twórcy kategoryzuje jego prace, a jeśli tak, to czy taki podział czemuś służy. Dzięki obecności nie tylko na polskim, ale i zagranicznym rynku autorki zarysują szerszą perspektywę dotyczącą kobiet w kulturze komiksu. Ta zaś, mimo pozostawania w cieniu, porusza, intryguje i nie pozwala na obojętność odbiorcy. Bez względu na płęć.

» [Spotkanie z Edytą Bystroni i Anną Krztoń odbędzie się 16 sierpnia o godzinie 18.00 w Kawiarni Miejsce. Poprowadzi je Olga Wróbel.](#)

”

Czy płęć twórcy kategoryzuje jego prace, a jeśli tak, to czy taki podział czemuś służy?

Edyta Bystroń, fot. z archiwum autorki



patroni medialni:



partnerzy:



www.literackisopot.pl